ROZMAITOŚCI.

Dnia 24. Października. № 43. Roku 1855.

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 37. 38. 39. 40. 41. 42. Rozmaitości.)

12.

Matka i Córka.

Kilka dni upłynęło, Fornaro Gaffarelli, słaby, bawił w domu Rafaela in Borgo nuovo. Szczęśliwy że odszukał córkę, że może z nią mówić, że może czoło posępne złożyć na ręce ukochanego dziécięcia, ani myślał wracać do siebie; dom i mieszkanie jemu tam tylko, gdzie jest obecność, gdzie przychylność ulubionéj Stelli. I Rafael odwiedza go, siaduje przy nim; a Gaffarelli pokochał artystę, że mu wyświadczał tyle dobroci, tyle miłosierdzia nad sobą. Dom Rafaela stał mu się światem, całe się życie jego tu przeniosło.

A dom na Rożańcach „Via dei Coronari", niegdyś świadek tyla szczęścia, swobody i życia, opustoszał, poszedł w niepamięć, piekarnia Fornara zastygła, sklep się zamknął, nikt chleba nie piecze, nikt nie kupuje. Drzwi i okna pozamykane jak gdyby anioł zniszczenia tchnął klątwą. Sąsiedzi, co niegdyś krzątali się w około, a ojcu i matce obleśnie się stręczyli w myśli jedynéj, ażeby napoić oko widokiem Stelli, usunęli się dzisiaj, i owe szumne pochwały, któremi brzmiała przedtem ulica dei Coronari, pogasły w pomowach zazdrości sąsiedzkiéj, bez któréj nie ostał się jeszcze ani tron książęcy ani buda żebracka. Zazdrość wylęgła się taborem, popod bramami poszeptują sąsiadki, a śmielsze w głos dodają:

Alboż-to raz mawialiśmy Mamie Lucyi i Signor Gaffarellemu, wasza córka piękna jest, bardzo piękna, strzeżcie ją, uchowaj Boże nieszczęścia. Nie chcieli wierzyć, jeszcze ją stroili jak obraz Matki Boskiéj. Macie-ż teraz. Za próżność, kara boża. Zobaczył ją malarz, wykradł, może i uwiodł; ale teraz-to będziemy mieli śliczne obrazy, klękać będziemy przed niemi.

A z domu Gaffarellich nie było komu odeprzéć obelgi, żywéj w nim duszy nie słychać; w zauszku posępnéj komnaty, od zgiełku dalekiéj, siedziała Mama Lucya sama jak na pokucie i w narzekaniach:

Biada mi! ja-m to winna wszystkiemu. Ta miłość co mię od tylu lat trawi a pokonać jéj w sercu nie mogę, zgubiła mię; i teraz, o niedopuść Boże, potępienia mego! poszłabym, poszła na koniec świata, w niewolnicę się zaprzedała, na jedno skinienie, za jedno słówko Rafaela. Ja zgubiłam Stellę! na coż-em biedaczkę wodziła po kościołach, i z nią do obrazów naszego mistrza klękała, jéj o sławie i cudach sztuki Rafaela prawiła! Ach, nieszczęsna! zaczęła go kochać wprzódy nim go poznała, i kiedy stanął przed nią, już go nosiła w sercu, obraz się jego tylko rozjaśnił, wdziękiem rozkwiecił, i ożył gdy słodki głos z ust jego wypłynął. Ja biedaczkę zgubiłam! ależ jak oprzeć się Rafaelowi?... Kocham go, kocham!

I tak w narzekaniach marnieje czas Mamie Lucyi, miłość z gryzotą znękały duszę, i sposobu nie patrzy jak uśmierzyć wrzawę serdeczną, odkąd się jéj odświeżył Rafaela obraz w pamięci. Ani jéj w myśli gdzie Gaffarelli bawi, i że go kilka dni nie widzi; w cierpieniach i boleściach jednostajnych dzień cały, czas u niéj stracił rozmiary, budziła się ze snu do tych samych boleści i cierpień, więc różnicy w porach czasu ludziom zwyczajnych ani czuła ani widziała, dla tego i o Gaffarellim ani myślała.

A Stella? u niéj miłość rozkwieciła myśli, i wonie pięknéj duszy rozpłynęły się na wszystko co ją otaczało. Obok ulubionego mistrza, cokolwiek uskromić przyszło jéj czasu wbiegała do komnaty ojca, tuliła w nim lubą pociechę swojego serca, i szukała przysługami wywdzięczyć się ojcu za łaskę zezwolonéj rozkoszy. Jedna tylko przykrość zasępiała pogodne oczko szczęśliwéj dziewicy, niepewność co Mama Lucya robi, że jéj nie widać, nie pojmowała dla czego?

Niespokojna, mówi raz do Rafaela, ściskając serdecznie:

Poszłam za tobą luby! bo cię kocham, i na kraj świata pójdę za tobą, ale mi pozwól poświęcić chwilkę i tym którzy mię dla ciebie wychowali. Ojca widzę, ale niewiem co Mama Lucya robi; kilka dni już i ani słychu o niéj; zaprowadź mię na Rożańce, chwileczkę niech Mamę uściskam.

O moje dziécię! jak-żeż cię lubię, mówi Rafael, twoje serce nie tylko kochać, ale i wdzięcznėm być umie! Rozkazuj, kochanie moje, wszystko, czego kiedy zapragniesz, dopełni ci twój Rafael. Wola twojéj pięknéj duszy, moim zakonem.

Teraz zmierzchło się, czas masz wolniejszy, chcesz? możebyśmy poszli?

Ale chodźmy!

I szczęśliwi Rafael z Fornariną spieszą do domku Via dei Coronari, ją wiedzie uciecha powitać mamę, uściskać, opowiedziéć rozkosze szczęścia swego, jego prowadzi myśl że sprawia szczęście i pomnaża uciechę sercu ukochanemu, a oboje łączy spółczucie miłości; tulą się wzajemnie, z pozoru dla ciemnéj nocy, w istocie zaś że ich spoiły węzły serdecznych uczuć. Tu jakiś cień zdaje się ją zastraszać, ażeby mieć powód ukryć główkę przy łonie kochanka; tam domysł napaści nocnéj zdaje się jego

zatrważać, ażeby mu wolno osłonić ją płaszczem swoim, przycisnąć do łona i pocałowaniem zażegnać przestrach z jéj twarzy. I nowéj otuchy im przybywało, i popłoch znikał, i szczęśliwie przybyli pode drzwi dawnego mieszkania Stelli.

W ulicy było cicho, jak w toni ostygł ruch życia po wszystkich domach, w jedném tylko oknie u Mamy Lucyi płonęło światełko jak gwiazdka nieśmiała. Ach czy nie chora? i ze drzeniem zapukali do drzwi, do owych gdzie Stella piérwszy raz Rafaela poznała, piérwszą tęschnotę uczuła, i dziś do nich z tęschnotą inną wróciła.

Na zapukanie powstał niezwyczajny ruch w domu, z za okna i z izby ozwał się głos cudzy; chwilka późniéj, drzwi się otwarły, jakaś obca kobiéta zchodziła ze schodów ze światłem, i ani się przytrzymać dała, uszła pokazując na górne piątro, że tam jest Signora Gaffarelli.

A Mama Lucya zasłyszawszy głos Rafaela, wypadła na schody, dwakroć uszczęśliwiona że i pociechę swoją powitać i w objęciu Stelli radość z widzenia córki wypłakać mogła. Zwracając się potém do Rafaela ze łzami mówi:

O panie Rafael dziękuję ci, dziękuję że mi przywodzisz me dziécię!

Przybycie Stelli poszło rozgłosem, wkrótce i cała ulica ożyła, po domach pokazały się światła, na dworze słyszéć się dały szmery, gadania, rozmowy, zwykły ruch małomieszczański, jak w zaułkach rzymskich zawsze jest we zwyczaju.

Kobiéta co wyszła z domu, znikła gdzieś w tłumie i ciemnościach, Rafael dopatrzył tylko jéj oczu, a zdziwiłby się był bardzo poznać w niéj ucznia swego Antonia Vanozzego.

13.

Zawiść w kobiécie.

Od czasu przybycia Stelli do Borgo nuovo, Antonio Vanozzi zerwał związki z Rafaelem, i wyrzekł się odosobnienia. Zmyśla pustotę i swawolę i w koleżeństwie z Paolem, z Giaccomem i ich przyjaciołmi, trawi czas na zabawach i igraszkach po schadzkach wieczornych. I oni pożegnali mistrza; wprawni artyści puścili się na swoją rękę i zaczęli od siebie wydawać dzieła, które przy wzniesionym smaku do sztuk nadobnych znachodziły licznych miłośników, zwłaszcza iż im dopomagała sława, że wyszli ze szkoły Rafaelowskiéj. Od rana drzwi im się nie zamykały, ten zamawiał kartony, ten rysunek, ten obrazy na większy rozmiar — płynęły dostatki, dzień pracom nie starczał, a pracowało się z zapałem, bo noc czekała z rozkoszą swoją i zabawami.

A pod noc znachodził się do nich i Antonio. Za dnia tracili go z oczu, i sądzili że także jak oni oddany był pracom. Ale pracami jego były cierpienia duszy wyszukującéj ochłody rozjątrzonym uczuciom serca. W zapamiętałości sama jeszcze nie pewna gdzie pomoc znaleść, odgrywa nocą pustego kolegi, we dnie przywdziewa obyczaj i suknie płci swojéj, i szuka związków odpowie-

dnich położeniu i swoim widokom. Pod zmyślonym pozorem zabiera znajomość z Mamą Lucyą, i z zręcznością jakiéj dodać umie ogłada wyższego świata i przebiegłość kobiéca, wśliznęła się w przyjaźń niewinnéj prostoty.

Mama Lucya zwierza się z cierpień swoich, ułudzona pociechą że przecież znalazła litośną duszę; opowiada zmyślonéj przyjaciółce gorycze zaznane od czasu kiedy piérwszy raz w Syenie ujźrzała Rafaela, i po raz setny powtarza zejście się z nim w sklepie Gaffarellego, jak malarz przypadkiem zeszedł Stellę u drzwi ich domu, jak się wpraszał, co robił, i czego dokonał za łaską i pomocą Ojca świętego.

Chytra przyjaciółka zbiera skrzętnie słówko za słówkiem, z nich uplata sposoby jakiemi by albo dopiąć zamiaru, który ją przywiódł do Rzymu, albo odnieść pomstę nad tą, która chociaż mimo swéj woli i wiedzy, stanęła jéj na przeszkodzie. Dwie te myśli nią miotają, i dwa też plany układa.

A silna w postanowieniu równie jak i w miłości niepowściągniona, umie zataić się a nie zdradzić nawet cieniem jakiegoś pozoru; szczéra i serdeczna przyjaciółka kiedy z Lucyą bawi, zawsze wesoła pod męzkim strojem kiedy z kolegami po nocach rozpustuje, nikt nie mógł posądzać co wrzało pod tą powłoką zmyśloną. Istotnie zadziwiać mogła moc duszy w téj kobiécie, i siła nad sobą. Nawet gdy za przybyciem Rafaela do domu Lucyi, przestrach ją spłoszył i obawa zatrwożyła czyli jéj mistrz nie poznał, dopada sukień męzkich, i nie tracąc ni chwili pospiesza w grono przyjaciół nad Tybrem w gospodzie, i z równą jak zawsze wesołością dosiaduje z nimi do saméj północy przy spiewach, biesiadzie i tańcach.

Lecz że pora nagli, zabiera się zaraz nazajutrz do napiętego dzieła.

Udaje rękę jednego z możnych książąt włoskich a przyjaciół Rafaela, i pisze list z poleceniem damy pewnéj z Wenecyi, wielkiéj wielbicielki talentu jego, która sławą niezrównanego mistrza przejęta, błagać go postanowiła o portret swój z-pod jego pędzla. W ręcznym przypisku nadmienia książę, że łaska Rafaela znajdzie u niéj wdzięczność bez granic.

A przy tym liście był osobny bilecik ręki niewieściéj z podpisem „Signora Fiuma“ zapowiedzianéj damy z Wenecyi, a z prośbą oczekiwania rozkazów wielkiego mistrza i pozwolenia przyjęcia go w swém pomieszkaniu „Piazza Antonina“ dnia tego i téj godziny kiedy sam zechce.

Na takie uprzedzenia Rafael odmówić nie mógł. Przewidywała to Signora Fiuma i przysposobiła się na przyjęcie. Z królewskim przepychem przyrządzić kazała znany gmach Fiuma Piazza Antonina, w sprzęty kosztowne, marmury, obrazy, materye drogie, obicia, wyzłoty bogate, nie szczędziła nic namiętność kobiéty, któréj serce przepadało, i w tém tylko zwodnictwie upatrywało jedyny sposób wywrzeć stosowne wrażenie na umysł mistrza rozkochanego sielską miłością w innéj. A w pośród tych zbytków okazałości sama Antonia w stroju od klejnotów, pereł, jedwabiów, i wyszukanych

ozdób książęcych, a ujmująca wdziękami, które uwydatnić i zmyślić lepiéj może jak kiedy z jéj poprzedniczek która użyć umiała, bo wniesła na ten podstęp awanturniczy i talent i rozum i bogactwa i moc duszy niepospolitą, więc téż pewną była, że byle zacienić Stellę, zapalne a kruche serce artysty ulegnie zaczarowaniu.

Pomyślnie już jéj i to wróżyło, że Rafael poselstwo Signory Fiumy wdzięcznie przyjął, i przyrzekł przy piérwszéj sposobności wstąpić i schwycić na płótno rysy szlachetnéj Wenecyanki. Szczęśliwa z tego piérwszego zawiązku, już przewidywała zwycięztwo, tak że się odtąd zrzeka swawolnych schadzek z kolegami, i Mamy Lucyi nie odwiedza, czas zwłoki sobie saméj poświęca, i osobie swojéj dobiera ozdób i ponęt o jakich sądzi że się najmocniéj wrażają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 47. 48. 49. 50. Rozmaitości z r. 1854.)

IV.

W las wjeżdża właśnie żółta kolasa.
Ale kasztanów czwórka nie hasa
Jako przed chwilą; bo Grzegórz stary
Wstrzymuje cugle, a pełen wiary
„Zdrowaś Marya“ odmawia w myśli,
Nieznacznie krzyżyk w powietrzu kréśli
Długiém biczyskiem. Wojciech strwożony,
Pod skrzydła Maryi Panny obrony
Rad się ucieka; a stolnik głową
Potrząsa i szepcze: „stało się słowo“,
Ilekroć niebo ognistym wężem
Jasno zaświeci: i jak puklerzem
Od ludzkich razów słonił się w bitwie,
Tak dziś ucieczki szuka w modlitwie
Gdy niebo grozi. Marcin znak krzyża
Kładzie na czoło, głowę uniża;
A stolnik okiem śledzi Marcina,
I rad widocznie, że przypomina
Pobożny młodzian obyczaj stary.
Już się na poły godzi z Pijary,
Że filozofów mądremi księgi,
Jeszcze ostatniéj nie dali cięgi
Staréj prostocie, i staréj wierze.
I westchnie stolnik, bo mu żal szczerze
Biédnego chłopca.

Burza tymczasem
Z coraz straszliwszym szumi hałasem:
Widnokrąg ginie w szarym pomroku,
Ostatni promień słońca w obłoku
Krwawo odbija barwy mętnemi;
Wicher szalony unosi z ziemi
Tumany pyłu.

— „Stójże“ — zawoła
Stolnik na Grzesia; — „a toż dokoła
Ani Bożego dopatrzyć świata.
Jeszcze kasztany biédne ochwatu
Dostać gotowe!“

— „Niechże Bóg broni!“ —
Odpowié Grzegórz — „bo takich koni
Nie znaleźć pono.“

— „Oj te konkury!“ —
Pomruknie Wojciech. — „Jak w moście dziury,
Tak my potrzebni byli w gościnie
U kasztelanki,“ — i ręką skinie.

— „Milcz Wasze — krzyknie stolnik,—bo słowa
Waści, to plewa. Niech pańska głowa
Nad rozkazami sama się biedzi,
A sługa niechaj jak trusia siedzi
Na swojém miejscu.“
Wojciech ukosem
Spojźrzy na pana, pokręci nosem:
Wié on, że milczeć słudze należy
Kiedy pan w gniewie; alež odmierzy
Z lichwą on pono pańskie gderanie,
Kiedy pogoda znowu nastanie
Po burzy w myśli dobrego pana.

A stolnik woła: — „Co u szatana
Grzesiu! zmyliłeś podobno drogę?“

— „Ależ stryjaszku, zaręczyć mogę —
Ozwie się Marcin zcicha, nieśmiało —
Że dobrze jedziem. Pamiętam całą
Drogę wybornie: tam na rozstaju
Będzie krzyż stary; ztamtąd od gaju
Grobla się ciągnie prosto przez błota;
W lewo karczemka jakby sierota
Tuli się sama, wpośród gęstwiny.
Tam trzeba złożyć w lewo z drożyny,
I wnet wyjedziem na szczere pole.“
— „Choćbyś miał Waszeć oczy sokole —
Odrzecze stolnik — nie dojźrzysz pono
Krzyża ni karczmy: bo oczy toną
W strasznéj kurzawie.“
— „Ha! nic ma rady!
Niech Grześ odprzęże konia, i w zwiady
Puści się naprzód — znowu zagadnie —
A nam zaczekać pono wypadnie.
Podnieś kolasy pudło, Wojciechu!
Bo dmie nie żartem wicher jak z miechu,
I jeno patrzéć, jak deszcz potokiem
Lunie. Już niebo całe pomrokiem
Ciemnym się skryło, a kropla wody
Na twarz mi padła. Toż od przygody,
By Pan Bóg raczył uchronić cało,
„*Kto się w opiekę*“ śpiewajmy śmiało.“
Grzesio tymczasem, posłuszny pana
Woli, dosiada żwawo kasztana:
Pędzi jak strzała, zawróci w prawo,
I ginie skryty grubą kurzawą.
A mimo świstu srogiéj wichury,
Płynie dźwięk psalmu prosto do góry;
I Pan zastępów pewno go słucha,
Bo w serca wszystkich dziwna otucha
Wstępuje, mimo że niebo pała
Od jasnych błysków, że ziemia cała
Drży; bo pioruny biją w jéj łono,
I ogniem z nieba konary płoną
Starego dębu.

W tém Grzesio wraca.
Nienadaremna biédnego praca:
Znalazł krzyż stary, schylony laty,
W pobliżu małéj na boku chaty.
Choć jéj nie dojźrzał ale przez szyby
Blask go uderzył; toć bez ochyby
Owa karczemka, którą Marcina
Pamięć młodzieńcza wiernie wspomina.

— „No! w imię Boże! stolnik zawoła —
Ruszajmy daléj“ — i znów do czoła
Podniesie rękę, zbrojną w szkaplerze,
I szepcze usty zcicha pacierze.

Grzegorz uderzy biczem kasztany,
I choć świat Boży tumanem zwiany,
Rusza na oślep; a błyskawica
Kiedyniekiedy drogę rozświeca
I przy jéj blasku, na końcu gaju.
Widać pochyły krzyż na rozstaju.

— „A teraz Grzesiu, zważaj gdzie droga
Skręcaj na lewo, i w imię Boga
Jedźmy, byle się wydobyć z lasu:
Bo tutaj tyle szumu, hałasu,
Jakby na sądzie straszliwym Pana.“

— „Ej! — rzecze Wojciech — toć to nieznana
Jakaś drożyna: istneż to czary
Wyprawia z nami Boruta stary.
Nigdzie w karczmie światło nie błyska,
A dobrzeby też ogrzać kościska
Przejęte chłodem. Toć od ulewy
Nie tęga schrona pomiędzy drzewy,
Bo one zwykły przyciągać gromy.
Dobrzećby panu, garsteczkę słomy
Porzucić w izbie, i poza progiem
Nockę do świtu przeczekać z Bogiem!“

Gdy stary prawi, toć deszcz potokiem
Lunie jak z wiadra. Daremnie okiem
Grzegorz drożynę śledzi na lewo;
Nigdzie jéj nie ma: przy drzewie drzewo,
A między drzewy gęstwa straszliwa,
Kędy się knieja wilcza ukrywa.

— „Ha! trudna rada — znów stolnik rzecze, —
Jedź Grzesiu prosto. Człek się przywlecze
Do piérwszéj lepszéj wioszczyny przecie;
Toć ich nie braknie na Bożym świecie.
Tędy nie tędy, no mniejsza o to,
Byleby daléj.“

— „Ależ tu błoto
Ogniste panie — Grzesio zagadnie —
Ni znaku drogi; a jak wypadnie
Ulgnąć w kałuży, toć będzie bieda!
Lepiejby ściągnąć na noc do żyda,
Do owéj karczmy, co tam na boku
Jest gdzieś w zaroślach.“

— „Własnemu oku
Wierzyć nie mogę — Marcin wyrzecze. —
Toć szatan gmatwa drogi człowiecze:
Karczemka była tu jako żywo!“
A stolnik głową potrząśnie siwą:
— „Była nie była, nic tu nie nada:
Co człek poradzi, gdy darmo biada?
Tu jechać trzeba byleby daléj.
Straszna ulewa wali a wali
Potokiem z nieba, jakoby z cebra;
Mnie aż od zimna wytrzęsła febra.
Prosto jedź Grzesiu, bylebyś z drogi
W rów nie wywrócił: wszak nie zna trwogi,
Kto się w opiekę ucieczе Pana.“

Grześ podsobnego zaciął kasztana,
I gdy się modlą, zwolna kolasa
Przecież na pole wyjeżdża z lasa.
Toczy się prosto, szeroką drogą,
Choć przed zamiecią nie dojźrzéć srogą
Chaty ni wioski; lecz wszystkim raźniéj:
Człek nie doświadcza w polu bojaźni,
Jak w ciemnym boru.

— „Chwalaż ci Panie! —
Zawoła stolnik — toć przecie stanie
Człowiek na nocleg z pomocą Boga,
I matki Bożéj, u chaty proga;
I wnet ogniska ogrzeje ciepło,
Krew w starych żyłach napoły skrzepłą.“

Ciągnież kolasa daléj a daléj,
Mimo wichury i strasznéj fali.

A wtém światełko na lewo błyska.
Nie pożałował Grzesio biczyska,
I wnet zawraca w lewo drożyną;
A choć jéj ślady przed okiem giną,
Kieruje śmiało kasztany w stronę,
Zkąd ono światło lśni upragnione.

Otóż i wioska. Mimo ulewy,
Jakby na dłoni widać ją, drzewy,
Zarosłą wkoło, jakoby wiankiem.
Na boku dworek drewniany z gankiem
Za kołowrotem; w oddali błyska
W oknie jaskrawy płomień ogniska,
Za dworkiem sterczą drzewiny sadu.

— „Toć — rzecze stolnik — nie ma przykładu,
Aby w szlacheckim domu niestało
Gościnnéj cnoty. Zajeżdżaj śmiało
Grzesiu w podwórzec; w zamieci słotnéj
Trudnoż się błąkać.“

Wtém kilkakrotny
Dźwięk srebrny dzwonka, ucha doleci.

— „Bądź chwała Bogu! Kochane dzieci —
Zawoła stolnik — jako Bóg Bogiem,
Przed zacnym pono stojemy progiem,
Kędy chowają obyczaj stary:
Bo według dawnéj naddziadów wiary,
Toż loretański dzwonek w potrzebie
Rozpędza chmury, a Pan go w niebie
Niedarmo słucha.“

Grzesio tymczasem,
Gdy stolnik mówi, palnie z hałasem
Z długiego bicza, i wpośród huku
Przed starym dworkiem stawa na bruku.
Choć okno lipa słoni liściasta,
Widać jak płomień nieci niewiasta
W izdebce małéj; i do ogniska,
Gdy blady płomyk słabiéj połyska,

Corazto nowy przyrzuci wianek.
Woń macierzanki bucha na ganek.
Stolnik rad, zwolna zsiada z kolasy
I myślą ściga ubiegłe czasy,
Kiedy bogdanka jego dokoła
Dworku dzwoniła, i wonne zioła
Paliła w czasie srogiéj zamieci.
To mu wspomnienie, jak gwiazda świeci
W mroku żywota; bo w dniu tym pono
Raz piérwszy ujźrzał swą ulubioną!

Zsiada i Marcin; a wtém z ubocza
Mignie dziéweczki postać urocza.
W błękitną chustkę skryta jéj głowa;
Znać przed ulewą rada się chowa,
I jeno widać, jak w drobnéj dłoni
Dzwonek święcony dzwoni a dzwoni.

Wtém się niewiasta ukaże w progu
Schylona laty: — „No, chwała Bogu! —
Zagadnie z cicha — żeście bez szkody
Uszli wśród burzy wszelkiéj przygody,
Szanowni goście! Toć proszę daléj:
Ogień w izdebce ciepły się pali.
Osuszyć odzież roztropność radzi.
A niechaj strawę dadzą czeladzi,
Koniom gołego owsa i siana“ —
Rzecze do ucha starego Jana.

I w progi gości prowadzi rada,
I do ogniska drewek przykłada.
A na kominku ogień gdy bucha,
Wstępuje w serca wszystkich otucha:
Bo cichnie łoskot straszliwéj fali,
Grzmot się odzywa corazto daléj,
I tylko z pluskiem biją o szyby
Rzęsiste krople.

— „Toć bez ochyby
Łaska nas jeno ustrzegła Boża —
Rzecze niewiasta. — Niedarmo hoża
Marynia, dzwonkiem z Loretu chmury
Rozpędza: jakby białemi pióry
Anioł je zganiał z Bożego świata.“ —
I macierzanki przysypie kwiatu
Zmarszczoną dłonią znów do ogniska;
Bo znów na niebie jaśniéj zabłyska,
Jakoby czarne pękło sklepienie
I znów w oddali słychać dzwonienie.

Potém dokoła cisza głęboka.
Już mig błyskawic nie razi oka;
Z poza obłoku nawet nieśmiała
Wyjźrzała z nieba, gwiazdeczka mała.
Już i plusk deszczu ustaje zwolna,
A babuleńki dłoń nieudolna,
Darmoby okno odemknąć rada;
Gdy wtém pan Marcin żwawo przypada,
Pomaga dzielnie, wstrząśnie żelazem:
Toż i okienko za silnym razem
Otwarte całe.

Babunia siwa
Pieszczonym głosem Maryni wzywa.
Przybieży dziéwczę z dzwoneczkiem w dłoni,
I spojźrzy w okno. Dziwnie się płoni,
Widząc nieznaną postać młodziana:
Boćto we dworku rzecz niesłychana!
Samotne zwykle domowe progi:
Wprawdzie ich nigdy żebrak ubogi
Nie zwykł pomijać, ani z klasztoru
Kwestarz, gdy bryką z dworu do dworu
Jeździ za zbożem; lecz to zjawisko,
Gość jaki taki pod strzechą nizką.

— „Chodź tu co żywo, Maryniu miła!
Kiedy nam gości Pan Bóg przysyła“ —
Rzecze Babunia.

Dziéweczka w progi
Wstępuje pełna nieznanéj trwogi:
Niebieską chustkę z główki odchyli,
A jasny połysk błyśnie w téj chwili
Nad białém czołem, złotych warkoczy;
I migną cudne, błękitne oczy
Z pod długiéj rzęsy. Urok dziewiczy
Lśni na obliczu, i tajemniczy
Ogień źrzenicę dziwnie zapala;
A małe usta, niby z korala
Wycięte, uśmiéch ozdabia cudny.
I z czoła bije odblask ułudny,
Jak na dziewicy świętéj obrazku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*